VICTORIA

HISLOP

Z WIDOKIEM NA WSCHÓD SŁOŃCA

Rozdział pierwszy

Famagusta, 15 sierpnia 1972

Miasto połyskiwało złotem. Piasek, sylwetki plażowiczów, życie mieszkańców opromieniał blask słońca i pomyślności.

Piaszczysta biała plaża i turkusowa tafla wody tworzyły najpiękniejszą zatokę Morza Śródziemnego, nad którą zjeżdżali z całego świata poszukiwacze przyjemności, by pławić się w cieple i zmysłowych rozkoszach fal muskających brzeg. To był rajski zakątek.

Na północ od nadmorskiej dzielnicy turystycznej leżała starówka, otoczona potężnym średniowiecznym murem, dokąd chodzili wycieczkowicze z przewodnikami, by poznawać przeszłość kurortu, podziwiać sklepienia, precyzyjną snycerkę i przypory okazałego budynku, niegdyś katedry Świętego Mikołaja, a teraz meczetu. Oglądali czternastowieczne zabytki, słuchali opowieści o wyprawach krzyżowych, o zamożnych królach z dynastii Lusignan i przybyciu Osmanów. Wszystkie te informacje, podawane przez życzliwych przewodników upalną południową porą, ulatywały turystom z głów, gdy tylko ponownie znaleźli się w hotelach i wskoczyli do basenów, zmywając z siebie pot i kurz dziejów.

Bardziej doceniali dobrodziejstwa dwudziestego wieku. Po

wyprawach w zamierzchłą przeszłość chętnie wracali do komfortowych nowoczesnych pokoi z prostymi ścianami i ogromnymi oknami, z których roztaczał się wspaniały widok.

Wąskie szczeliny w staromiejskich murach pozwalały dostrzec nadciągającego wroga, ale prawie w ogóle nie wpuszczały światła, bo zadanie średniowiecznej twierdzy polegało na odpieraniu najeźdźcy, nie zaś wpuszczaniu ludzi do środka, jak to czyniły późniejsze miasta. Nowe budowle zwracały się frontem na zewnątrz i pięły w górę, ku błękitom morza i nieba; te dawne kierowały się do wewnątrz. Famagusta lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, jasna i atrakcyjna, przyciągała gości. Obraz napastnika, którego trzeba zmusić do odwrotu, zdawał się należeć do innej epoki.

Ten kurort był jednym z najwspanialszych na świecie, zbudowany tak, by sprawiać przyjemność. Jego założenia miały na celu niemal wyłącznie zapewnianie wygód wczasowiczom. W wysokich budynkach wzdłuż wybrzeża mieściły się głównie hotele z eleganckimi kawiarniami i luksusowymi sklepami na parterze. Nowoczesne i ekskluzywne, jak te w Monako czy Cannes, służyły wypoczynkowi i rozrywce i były przeznaczone dla nowej zamożnej elity z całego świata, gotowej dać się skusić urokom wyspy. W ciągu dnia urlopowiczom całkowicie wystarczały morze i plaża. Po zachodzie słońca czekały na nich setki lokali, gdzie mogli zjeść, wypić i się zabawić.

Famagusta była nie tylko atrakcją turystyczną, lecz także najgłębszym i największym portem na Cyprze. Mieszkańcy dalekich krajów mieli sposobność posmakować uroków wyspy, zajadając cytrusy, co roku wywożone stąd statkami.

Od maja do września pogoda w zasadzie się nie zmieniała, jeśli pominąć kilka gwałtownych skoków temperatury, kiedy słońce zdawało się nie mieć litości. Niebo było zawsze

bezchmurne, dni długie, powietrze upalne, ale suche, morze łagodnie orzeźwiające. Na rozległych plażach, pod osłoną kolorowych parasoli, wylegiwali się opaleni wczasowicze, popijając schłodzone drinki, natomiast ci bardziej aktywni pluskali się na płyciźnie albo popisywali sprawnością na nartach wodnych, śmigając zakosami i przecinając swoje tory jazdy.

Famagusta doskonale prosperowała, ku niemal całkowitemu zadowoleniu stałych mieszkańców i przyjezdnych gości.

Ultranowoczesne hotele, w większości kilkunastopiętrowe, ciągnęły się rzędem wzdłuż wybrzeża. Na południowym krańcu plaży wyrastał nowy budynek. Był wyższy od pozostałych, piętnastopiętrowy, i dwa razy szerszy, postawiony niedawno, więc jeszcze nie widniał na nim szyld z nazwą.

Od strony morza wyglądał minimalistycznie, wtapiał się w łańcuch hoteli otaczających łukiem zatokę. Natomiast od ulicy prezentował się okazale, z imponującą bramą i wysokim żelaznym ogrodzeniem.

Tego upalnego letniego dnia kręciło się tam mnóstwo ludzi, ubranych wcale nie w swobodne stroje, lecz w kombinezony. Byli to inżynierowie, robotnicy i rzemieślnicy, którzy prowadzili prace wykończeniowe przy pieczołowicie stworzonym projekcie. Wygląd elewacji właściwie nie odbiegał od standardu, natomiast wnętrza znacznie różniły się od tych u konkurencji.

Ambicje właścicieli sięgały wysoko. Zamierzali uzyskać efekt „splendoru", zwłaszcza w części recepcyjnej, która ich zdaniem należała do najważniejszych. Gość powinien zakochać się od pierwszego wejrzenia, w przeciwnym razie hotel czeka fiasko – drugiej szansy już nie dostanie.

Przede wszystkim miał imponować wielkością: mężczyznom kojarzyć się z boiskiem piłkarskim, kobietom zaś z pięknym jeziorem. I jedni, i drudzy musieli zauważyć niezwykły blask

marmurowej posadzki i odnieść wrażenie, że stąpają po wodzie.

Ta wizja powstała w głowie Sawasa Papakosty. Był mężczyzną trzydziestotrzyletnim, ale postarzały go pasemka siwizny w ciemnych kędzierzawych włosach. Miał krępą sylwetkę i gładko ogoloną twarz. Tego dnia, jak co dzień, ubrał się w szary garnitur (najlepszy z dostępnych systemów klimatyzacji zapewniał każdemu uczucie chłodu) i koszulę w kolorze złamanej bieli.

W holu przy recepcji pracowali sami mężczyźni – z jednym wyjątkiem. Owa kobieta, ciemnowłosa, ubrana w elegancką luźną sukienkę, była żoną Papakosty. Tego dnia przyszła dopilnować zawieszenia kotar w lobby i sali balowej, natomiast w poprzednich miesiącach wybierała tkaniny dekoracyjne do pięciuset sypialni. Afrodyta miała do tego dar i zamiłowanie. Projektowanie wystroju każdego pomieszczenia, dekorowanie każdego piętra w nieco odmiennym stylu przypominało dobór garderoby i pasujących do niej dodatków.

Wyrafinowanemu gustowi Afrodyty Papakosty hotel zawdzięczał swoje piękno, natomiast jej samej zawdzięczał istnienie. Inwestycja powstała dzięki jej ojcu. Trifonas Markides był właścicielem wielu budynków mieszkalnych w Famaguście, a także dużej firmy spedycyjnej, zajmującej się przewozem owoców i innych towarów eksportowych drogą morską.

Sawasa Papakostę poznał na zebraniu miejscowego zrzeszenia handlu i usług i dostrzegł w nim głodnego sukcesu przedsiębiorcę, jakim sam był za młodu. Minęło trochę czasu, nim przekonał żonę, iż człowiek, który prowadzi niewielki hotel przy niezbyt popularnej części plaży, ma przed sobą obiecującą przyszłość.

– Dziewczyna skończyła dwadzieścia jeden lat – rzekł. – Czas pomyśleć o ślubie.

Artemida uważała, że w hierarchii społecznej Sawas stoi niżej od jej pięknej, wykształconej córki, co więcej, jest trochę

„nieokrzesany". To, że jego rodzice pracują na roli, było mniej istotne od tego, że mają tak mało ziemi. Trifonas z kolei traktował potencjalnego zięcia jak inwestycję finansową. Wielokrotnie omawiał z nim jego plan budowy drugiego hotelu.

– On jest bardzo ambitny, *agapi mu* – zapewnił żonę. – I to się liczy. Z pewnością daleko zajdzie. Ma błysk w oczach. Mogę z nim rozmawiać o interesach. Jak mężczyzna z mężczyzną.

Kiedy Trifonas Markides postanowił zaprosić Sawasa Papakostę na kolację do swojego mieszkania w Nikozji, Afrodyta znała zamiary ojca. Nie zakochała się od pierwszego wejrzenia, ale przecież do tej pory spotykała się zaledwie z kilkoma młodymi mężczyznami i tak naprawdę nie wiedziała, co powinna odczuwać. Choć nikt o tym nie napomknął, a Sawas mógł to zauważyć, gdyby bacznie przyjrzał się fotografii wiszącej na poczesnym miejscu na ścianie, jego podobieństwo do nieżyjącego syna państwa Markidesów, brata Afrodyty, teraz pozbawionej rodzeństwa, rzucało się w oczy. Byliby rówieśnikami, obaj muskularni, o falujących włosach i szerokich ustach.

Dimitris Markides miał dwadzieścia pięć lat, gdy zginął w zamieszkach, które wybuchły między Grekami a Turkami cypryjskimi w Nikozji na początku 1964 roku. Poniósł śmierć niecałą milę od własnego domu. Jego matka uważała, że przypadkiem znalazł się w miejscu, gdzie doszło do strzelaniny.

Przekonanie, że syn był niewinną ofiarą, tylko pogłębiło rozpacz Artemidy, natomiast jej mąż i córka wiedzieli, że nie był to po prostu nieszczęśliwy wypadek. Afrodyta i Dimitris nie mieli przed sobą tajemnic. Siostra kryła brata, gdy wymykał się z domu, kłamała, by go chronić, a raz nawet ukrywała w swoim pokoju broń, wiedząc, że nikt nie będzie jej tam szukał.

Dzieci Markidesów miały to szczęście, że mogły uczyć się w dobrych szkołach w Nikozji i spędzać sielankowe wakacje w

Famaguście. Ich ojciec znał się na interesach i już zainwestował znaczną część swojego majątku w nieruchomości w nadmorskim kurorcie, wykorzystując ożywienie na rynku.

Po śmierci Dimitrisa wszystko się zmieniło. Artemida nie potrafiła i nie zdołała wydobyć się z żałoby. Każdy z członków rodziny pogrążył się w psychicznym i fizycznym mroku, którego nic nie mogło rozproszyć. Trifonas zagrzebał się w pracy, natomiast Afrodyta zazwyczaj tkwiła w dusznej atmosferze domu, w głuchej ciszy, przy okiennicach zamkniętych często przez cały dzień. Pragnęła wyrwać się stamtąd, a jedynym sposobem było zamążpójście. Gdy poznała Sawasa, uprzytomniła sobie, że nadarza się do tego sposobność.

Choć nie zapłonęła ku niemu uczuciem, wiedziała, że jej życie będzie lżejsze, gdy poślubi mężczyznę, który zyskał aprobatę jej ojca. Dostrzegła również interesującą możliwość włączenia się w działalność hotelarską Sawasa.

Półtora roku później jej rodzice urządzili najwystawniejsze od dziesięciu lat wesele na Cyprze. Nabożeństwo odprawił pan prezydent, Jego Świątobliwość arcybiskup Makarios. Na przyjęcie zaproszono ponad tysiąc gości (i opróżniono tyleż butelek szampana). Wartość samej biżuterii, którą wniosła w posagu panna młoda, szacowano na ponad piętnaście tysięcy funtów. W dniu ślubu otrzymała od ojca naszyjnik z rzadkich niebieskich brylantów.

Kilka tygodni później Artemida Markides zaczęła wyraźnie napomykać, że pragnie przeprowadzić się do Anglii. Jej małżonek rozwijał interesy i nadal się bogacił, korzystając z bujnego rozwoju Famagusty, ale dla niej przebywanie na Cyprze stało się nie do zniesienia. Choć od śmierci Dimitrisa upłynęło pięć lat, wspomnienia tamtego straszliwego dnia wciąż były żywe.

– Musimy rozpocząć nowe życie gdzieś indziej – uparcie

powtarzała Artemida. – Cokolwiek byśmy tu robili, gdziekolwiek byśmy mieszkali, w tym kraju już nigdy nie będziemy się czuli tak jak dawniej.

Mimo poważnych zastrzeżeń Trifonas Markides wyraził zgodę. Uznał, że córka jest zabezpieczona na przyszłość przez małżeństwo, a jego życie w pewnej mierze nadal będzie się toczyć na ojczystej ziemi.

Sawas nie zawiódł jego nadziei. Udowodnił, że potrafi czerpać zyski z gołej ziemi. W dzieciństwie widział, jak oboje rodzice pracują w pocie czoła na polu, zbierając z niego ledwie tyle, by przeżyć. Jako czternastolatek pomagał ojcu powiększyć dom o jeszcze jeden pokój. To zajęcie sprawiło mu przyjemność, ale przede wszystkim uświadomiło mu, że ziemię można wykorzystywać w inny sposób, niż tylko orać ją i obsiewać. Nie cierpiał pracy na roli, powtarzającej się bez końca i jego zdaniem całkowicie bezowocnej.

Gdy ujrzał pierwszy wielopiętrowy hotel stawiany w Famaguście, szybko obliczył w myślach, o ile więcej można zarobić na akrze gruntu, jeżeli buduje się wzwyż, a nie kopie w głąb, by siać nasiona i sadzić drzewa, które wymagają intensywnego wysiłku i stałej opieki. Pozostała tylko kwestia środków: jak kupić ziemię, by zrealizować te zamierzenia. Koniec końców, dzięki pracy dzień i noc w różnych miejscach oraz kredytowi z banku (kierownik natychmiast dostrzegł nieskrywane ambicje klienta), zebrał sumę umożliwiającą zakup małej pustej działki, na której postawił swój pierwszy hotel, o nazwie Rajska Plaża. Od tamtego czasu Famagusta przemieniała się na oczach Sawasa w coraz większy kurort i wraz z tym rosły jego aspiracje.

Głównym inwestorem w nowym przedsięwzięciu był Trifonas Markides. Wspólnie sporządzili biznesplan. Sawas chciał stworzyć

sieć hoteli, które z czasem zyskają międzynarodową renomę, a ich marka stanie się równie rozpoznawalna jak Hilton.

Pierwszy etap realizacji projektu prawie zakończono. Budynek już stał. Wkrótce miało nastąpić otwarcie hotelu Jutrzenka, największego i najelegantszego w Famaguście.

*

Sawas Papakosta był nieustannie zajęty. Ciągle podchodzili do niego ludzie, prosząc o zatwierdzenie ich pracy. Rozmawiał ze wszystkimi, gdyż wiedział, że na efekt końcowy składają się tysiące elementów i każdemu trzeba się bacznie przyjrzeć.

Właśnie wieszano żyrandole. Kryształy mieniły się kolorami, tworzyły ruchome cienie na suficie i rozbłyski światła na posadzce. Niezupełnie zadowolony z efektu Sawas kazał opuścić żyrandole o dwa oczka łańcucha, dzięki czemu znacznie powiększył się zasięg migoczących wzorów.

Na środku rozległego lobby znajdowała się okrągła fontanna z trzema złoconymi delfinami naturalnej wielkości. Można było odnieść wrażenie, że zaraz wyskoczą z wody. Ich szklane oczy napotykały wzrok patrzących. Dwaj robotnicy regulowali siłę strumieni tryskających z pysków.

– Trochę większe ciśnienie – polecił Sawas.

Sześciu plastyków pieczołowicie nakładało płatki złota na neoklasyczne sztukaterie na suficie. Pracowali tak, jakby czasu mieli pod dostatkiem. Być może dla uprzytomnienia im, że jest inaczej, mocowano pięć zegarów na ścianie za mahoniową ladą recepcji, ciągnącą się przez trzydzieści jardów z boku holu. Za parę godzin miały się na nich pojawić nazwy najważniejszych centrów finansowych na świecie i wskazówki pokazujące dokładną godzinę.

Dekoracyjne kolumny, rozmieszczone tak samo jak na

starożytnej agorze w pobliskiej Salaminie, pomalowano w delikatny wzór, przypominający żyłkowany marmur. Uczepiona rusztowania trójka artystów tworzyła na ścianie *trompe l'oeil* o tematyce antycznej. W centralnym punkcie znajdowała się Afrodyta, patronka wyspy, wyłaniająca się z morza.

W pokojach i korytarzach na piętrach uwijały się jak pszczoły w ulu pokojówki. Parami kładły nowe, chłodne prześcieradła na ogromnych łóżkach i oblekały grube poduszki z pierza.

– W tym pokoju zmieściłaby się cała moja rodzina – powiedziała jedna z nich.

– A łazienka jest większa niż mój dom – z dezaprobatą dorzuciła jej koleżanka.

Roześmiały się, raczej zbulwersowane niż powodowane zazdrością. Ludzie zatrzymujący się w takim hotelu zapewne pochodzą z innej planety. W odczuciu pokojówek każdy człowiek, który musi kąpać się w marmurowej wannie i spać w łóżku szerokim na pięć osób, z całą pewnością jest dziwaczny. Nawet nie przyszło im na myśl, że to na nie należałoby patrzeć z zazdrością.

Takie samo wrażenie mieli hydraulicy wykańczający łazienki i elektrycy wkręcający w pośpiechu ostatnie żarówki. Wielu z nich mieszkało w ciasnocie, w wielopokoleniowych rodzinach. Spali, niemal czując na sobie oddech krewniaka; cierpliwie czekali, aż zwolni się wygódka; szli spać, gdy zapadał zmrok i zaczynały migotać słabe żarówki. Instynktownie wiedzieli, że rozrzutność nie równa się szczęściu.

Piętro niżej, w podziemiach, obok krytego basenu, który wciąż starannie wykładano kafelkami (będzie potrzebny dopiero w listopadzie), dwie kobiety w białych nylonowych fartuchach krzątały się po pomieszczeniu, które olśniewało blaskiem luster. Jedna z nich nuciła sobie pod nosem.

Szykowały salon fryzjerski na uroczyste otwarcie hotelu. Zdążyły już zinwentaryzować całość dostaw z ostatnich kilku dni. Suszarki hełmowe najnowszego typu, wałki najróżniejszej wielkości, szampony koloryzujące, preparaty do trwałej ondulacji – wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Szpilki i wsuwki, nożyczki i maszynki do strzyżenia, szczotki i grzebienie leżały w szufladach albo na wózkach. We fryzjerstwie używa się dość prostego sprzętu i urządzeń. Ostateczny efekt zależy od umiejętności fryzjera i stylisty, o czym doskonale wiedziały obie kobiety, Emine Özkan i Sawina Skuros.

Choć wszystko było w idealnym porządku, lśniło i działało należycie, po raz piąty tego dnia przetarły blat, sześć umywalek, krany i lustra. Jedna z nich przesunęła odrobinę szampony i lakiery, żeby nazwa firmy, która napawała je dumą, powtarzała się w jednej linii: WellaWellaWellaWellaWella.

Interes z pewnością się rozkręci, gdy mieszkanki hotelu będą chciały okiełznać swoje włosy po całym dniu leżenia na słońcu i na piasku. Za kilka miesięcy nie ujrzy się tu ani jednego pustego fotela.

– Możesz w to uwierzyć?

– Chyba nie...

– Mamy dużo szczęścia...

Emine Özkan zaczęła strzyc Afrodytę Papakostę, gdy ta była jeszcze nastolatką. Do niedawna pracowała razem z Sawiną w małym zakładzie fryzjerskim w handlowej części Famagusty. Codziennie dojeżdżała autobusem z Maraty, wioski oddalonej o dziesięć mil. Kiedy miasto zaczęło się rozrastać i rozkwitać, a jej mąż też znalazł w nim zatrudnienie, przenieśli się całą rodziną na obrzeża powstającego kurortu, które podobały im się bardziej niż otoczona murem starówka, gdzie mieszkali głównie Turcy cypryjscy.

Była to ich trzecia przeprowadzka w ciągu kilku lat. Niemal dziesięć lat wcześniej uciekli ze swojej wsi, gdy po ataku Greków cypryjskich spłonął ich dom. Mieszkali przez jakiś czas w enklawie, gdzie chroniły ich oddziały Organizacji Narodów Zjednoczonych, a potem osiedli w Maracie.

Famagusta nie była rodzinnym miastem również drugiej fryzjerki. Sawina dorastała w Nikozji, lecz seria zamieszek, które wybuchły między obiema społecznościami przed dziewięciu laty, pozostawiła także w niej głębokie ślady. Między Grekami a Turkami wytworzyło się tyle strachu i podejrzliwości, że do stolicy przysłano oddziały pokojowe ONZ i przecięto ją granicą, tak zwaną Zieloną Linią, by obie grupy ludności odseparować. Te wydarzenia zatruły atmosferę w rodzinie Sawiny.

– Tej izolacji nie dało się znieść – powiedziała do Emine, gdy któregoś dnia dzieliły się wspomnieniami. – Mieliśmy dobrych przyjaciół, a nie mogliśmy się z nimi spotykać. Nie wyobrażasz sobie, jakie to było okropne. Ale Grecy i Turcy zabijali się nawzajem, więc chyba należało tak zrobić.

– W Maracie wyglądało to inaczej. Byliśmy w dość dobrych stosunkach, my i Grecy – rzekła Emine. – Ale tu żyje nam się jednak dużo lepiej. Nie zamierzam znów się przeprowadzać!

– Nam też się poprawiło – odparła Sawina – ale bardzo tęsknię za rodziną...

Obecnie większość Greków cypryjskich żyła z Turkami na dobrej stopie i już nie obawiała się grup paramilitarnych. Jak na ironię, to między Grekami dochodziło do zatargów i aktów przemocy. Mniejsza ich część dążyła do *enosis*, połączenia Cypru z Grecją, i chciała to osiągnąć siłą i zastraszaniem. Turyści tego nie widzieli i nawet większość mieszkańców Famagusty starała się nie zważać na to zagrożenie.

Kobiety stanęły razem przed lustrem. Miały ten sam wzrost,

podobne krępe sylwetki oraz identyczne krótkie fryzury, wówczas w modzie, i obie nosiły robocze fartuchy. Gdy ich spojrzenia się spotkały, na twarzach pojawił się uśmiech. Emine była ponad dziesięć lat starsza od Sawiny, ale podobieństwo między nimi rzucało się w oczy.

Tego dnia, w przeddzień otwarcia hotelu, z ich ust płynął jak zwykle potok słów. Choć przebywały ze sobą sześć dni w tygodniu, ani na chwilę nie przestawały gawędzić.

– W przyszłym tygodniu przyjeżdża do nas na kilka dni pierworodna córka mojej najmłodszej siostry. Dziewczyna tylko przechadza się ulicami, tam i z powrotem, i ogląda witryny sklepów. Widziałam, jak to jest. Przystaje i gapi się bez końca.

Emine zaczęła naśladować swoją siostrzenicę (jedną z piętnastu dziewczynek, które wydały na świat jej cztery siostry), jakby oczarowana niewidzialną wystawą.

– Ta, co wychodzi za mąż?

– Tak. Mualla. Tym razem naprawdę zamierza zrobić zakupy.

– Będzie miała z czego wybierać.

W Famaguście było zatrzęsienie dużych sklepów ze strojami ślubnymi, prezentujących w witrynach sute kreacje z atłasu i koronki. Siostrzenica Emine będzie potrzebowała kilkunastu dni, żeby do każdego wstąpić.

– Chce tu kupić wszystko. Pantofle, suknię, pończochy. Wszystko.

– Mogę jej powiedzieć, gdzie kupiłam swoją suknię! – wtrąciła Sawina.

Nie przerywając rozmowy, krążyły po salonie, ścierając najdrobniejsze pyłki. Ani jedna, ani druga nie potrafiła siedzieć bezczynnie, choćby chwilę.

– I jeszcze rzeczy do domu. Teraz młodzi chcą mieć więcej niż kiedyś my – skonstatowała Emine Özkan, dając do

zrozumienia, że nie w pełni pochwala ambicje siostrzenicy.

– Kilka koronkowych obrusów... Haftowane powłoczki... W dzisiejszych czasach to za mało, Emine. Nowoczesny sprzęt domowy, na tym im zależy.

Będąc mieszkanką szybko rozrastającego się miasta, w którym obok turystyki kwitł przemysł lekki, Sawina polubiła plastikowe gadżety i korzystała z nich w kuchni równie często jak z tradycyjnego sprzętu.

– Jak uczesze się pani Papakosta na jutrzejsze otwarcie? Tak jak na swój ślub?

Afrodyta miała być pierwszą klientką nowo powstałego salonu.

– O której przyjdzie?

– Umówiła się na czwartą.

Na chwilę zapadła cisza.

– Okazała nam wiele życzliwości, prawda?

– O tak – potwierdziła Sawina. – Dzięki niej mamy wielką szansę.

– Jednak tu będzie już inaczej... – Emine westchnęła.

Wiedziały, że zabraknie im atmosfery, jaka panowała w zakładzie przy ulicy Eurypidesa. Służył nie tylko jako miejsce spotkań towarzyskich, lecz i oaza dla kobiet, gdzie mogły rozmawiać o intymnych sprawach – był tym samym czym dla mężczyzn *kafenijon*. Mając włosy zawinięte na wałki, przesiadywały tam godzinami, pewne, że ich sekrety nie wyjdą poza te cztery ściany. Dla wielu z nich była to jedyna okazja w tygodniu, żeby przyjemnie spędzić czas poza domem.

– Nie przyjdą tu nasze stałe klientki. Ale z drugiej strony zawsze chciałam pracować na swoim.

– Te panie będą inne. Może bardziej...

– ...podobne do nich?

Emine wskazała oprawione czarno-białe zdjęcia, które

rozwiesiły wcześniej tego dnia. Widniały na nich olśniewające modelki w ślubnych fryzurach.

– Przypuszczam, że będziemy czesały do ślubu wiele panien.

Zrobiły już wszystko, co należało. Od następnego dnia zaczną się umawiać z klientkami. Sawina z uśmiechem ścisnęła koleżankę za ramię, mówiąc:

– Chodźmy. Jutro czeka nas wszystkich ważny dzień.

Powiesiły białe fartuchy i opuściły hotel tylnym wyjściem.

*

Turystyka przynosiła zyski tysiącom ludzi zatrudnionych w restauracjach, barach, sklepach i hotelach. Całymi rodzinami ściągnęli do miasta, zachęceni jego możliwościami handlowymi, a także sennym pięknem, którym zachwycali się tak samo jak obcokrajowcy.

Miejscowi, zwłaszcza młodzieńcy, korzystali z morza i plaż w równej mierze co turyści. Co więcej, wzajemne kontakty nieraz kończyły się obietnicami dozgonnej miłości i płaczem na lotnisku.

Tego typowego letniego popołudnia mały chłopiec, może trzyletni, bawił się na plaży, tuż pod hotelem Jutrzenka. Był sam; w zapamiętaniu przesypywał piasek cienką strużką z ręki do ręki, sięgając coraz głębiej do chłodnych warstw.

Raz po raz przesiewał piasek między paluszkami, aż zostały najdrobniejsze ziarenka i spłynęły jak woda z dłoni na ziemię, gdy podniósł ręce. Ta zabawa nigdy mu się nie nudziła.

Przez godzinę obserwował długonogich starszych chłopców grających w piłkę wodną i marzył o dniu, gdy będzie na tyle duży, by do nich dołączyć. Teraz nie pozostawało mu nic innego, jak siedzieć i czekać na swojego brata Hüseyina, który był jednym z graczy.

Hüseyin znalazł sobie dorywczą pracę na lato: rozstawiał i składał na stos łóżka plażowe. Gdy wykonał swoją robotę, natychmiast wchodził do wody i włączał się do gry. Ponieważ trener powiedział mu, że ma zadatki na sportowca, był rozdarty między dwoma marzeniami – nie wiedział, czy uprawiać zawodowo siatkówkę, czy piłkę wodną. Liczył na to, że uda mu się połączyć te dyscypliny.

– Musimy ściągnąć cię na ziemię! – żartowała z niego matka.

– Niby dlaczego? – protestował stanowczo ojciec. – Tylko mu się przyjrzyj! Z takimi mocnymi nogami może konkurować z każdym.

Mehmet wstał i pomachał ręką, widząc maszerującego plażą brata. Już nieraz Hüseyin, bujając w obłokach, zapomniał, że ma się opiekować młodszym bratem, i poszedł do domu bez niego. Mehmetowi nic nie zagrażało, co najwyżej, mając słabą orientację w terenie, jak to trzylatek, powędrowałby w niewłaściwym kierunku. W wiosce, gdzie przed wieloma laty urodzili się jego rodzice, pozostawione sobie małe dziecko nigdy by nie zabłądziło. Famagusta jednak była innym światem.

Mehmet nieraz słyszał od matki, że jest małym cudem, ale przezwisko, jakie nadał mu Hüseyin, Mały Maruda, brzmiało prawdziwiej. Tak się czasem czuł w obecności swoich dwóch starszych braci.

– Idziemy do domu, Mehmet – powiedział starszy chłopiec i trzepnął malca w ucho.

Jedną ręką trzymając piłkę, a drugą prowadząc brata, wyszedł na drogę i zaczął odbijać piłkę od asfaltu. Obaj wpadli w trans, zahipnotyzowani rytmem uderzeń. Czasem przez całą drogę do domu, co zajmowało z piętnaście minut, ani razu nie zgubili rytmu.

Pochłonięci obserwowaniem piłki, nie usłyszeli wołania:

– Hüseyin! Mehmet! Hüseyin!

Ich matka, oddalona o jakieś sto jardów od tylnego wejścia do hotelu Jutrzenka, usiłowała ich dogonić.

– Cześć, kochani – odezwała się, biorąc Mehmeta na ręce.

Mehmet bardzo nie lubił, żeby podnosić go na ulicy, więc zaczął się energicznie wyrywać. Przecież nie jest już dzieckiem. Matka postawiła go na ziemi i pocałowała w policzek.

– Mamusiu...?

Niedaleko od nich stała tablica reklamowa, na której chłopiec z szerokim zawadiackim uśmiechem trzymał szklankę pełną musującej lemoniady. Mehmet patrzył na ten obrazek codziennie, zawsze z nadzieją.

Emine Özkan wiedziała, co ma na myśli jej synek.

– Nie rozumiem, dlaczego wolisz coś, co nie wiadomo kiedy wlano do butelki, zamiast świeżego soku?

Zaraz po wejściu do domu Mehmet dostał szklankę niegazowanego białawego płynu z dużą ilością cukru, ale wciąż tak cierpkiego, że aż wciągnął policzki. Napój był kompletnie bez gazu, jak mleko. Któregoś dnia, po zwycięskim meczu w piłkę wodną, pójdzie do kiosku i kupi sobie butelkę lemoniady. Gdy będzie ją otwierał, rozlegnie się głośny psyk i popłyną bąbelki.

Któregoś dnia, pomyślał Mehmet.

Obaj bracia pielęgnowali swoje marzenia.